1923 r. GRUDZIEŃ № 24.

PRZEGLĄD MYŚLIWSKI I ŁOWIECTWO POLSKIE

ZJEDNOCZONY DWUTYGODNIK ŁOWIECKI



Wł. Korsak

Przyszłe zawody olimpijskie a myśliwstwo.

W numerze 75 redagowanego przez siebie we Lwowie „Sportu“ zamieścił prof. Rudolf Wacek artykuł p. t. „Organizacja myślistwa w Polsce“, w którem biada „nad typową waśnią partyjną“, powstałą jakoby stąd, że w lipcu b. r. powstał w Warszawie „Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich“ mimo istniejącego od r. 1920 „Polskiego Związku Myśliwych“ w Poznaniu.

Jakkolwiek członek Zarządu Głównego C. Zw. P. St. Ł. nie czuję się uprawnionym do polemizowania z prof. Wackiem w tym względzie czy C. Zw. P. St. Ł. należą się za taki, przez prof. Wacka stwierdzony stan rzeczy, jakie zarzuty i pozostawiam to Prezydjum tegoż Związku i jego sekretarjatowi, tusząc przy tem, że te organy naczelne Związku także w nieprowadzącą do niczego, jak doświadczenie uczy, polemikę prasową wdawać się nie będą, lecz raczej podwoją usiłowania zjednoczenia naszego myślistwa w jednym obozie i pod jednym sztandarem, czego pragnie niewątpliwie każdy, kto ukochał nasze łowiectwo i czego pragnie także zapewne szczerze prof. Wacek, który jednak w szlachetnej intencji służenia dobrej sprawie przeoczył, że artykułami prasowemi polemicznemi, choćbyśmy się starali o największą ich przedmiotowość, pomostu do zgody i zjednoczenia nie zbudujemy, a uczynimy to tylko wzajemną ustępliwością i wyrozumiałością.

We wspomnianym artykule prof. Wacek poruszył jednak jeszcze sprawę udziału strzelców polskich w zawodach olimpijskich w r. 1924, a ta sprawa bez szkody dla dobra łowiectwa dopuszcza polemikę, ba, nawet jej wymaga.

Zdaje mi się, że się nie pomylę i na zarzut wpierania w kogoś obcych mu idei się nie narażę, jeżeli powiem, że z gorącego tonu, w jakim prof. Wacek, znany w Polsce propagator i orędownik sportu, tę sprawę omawia, przebija niedwuznacznie myśl, że myślistwo jest sportem i że ma z tego tytułu wobec sportu szczególne obowiązki i zobowiązania.

Czem jest myślistwo, omawiali już w ostatnich dwu latach w „Łowiectwie Polskiem“ i w „Łowcu“ bardzo obszernie i przekonywująco dr. Władysław Burzyński, wielki łowczy Janta Połczyński, Cyryl Czarkowski-Golejewski i inni, ale nie pamiętam, by który z tych myśliwych doszedł do konkluzji, że myślistwo jest sportem, tak, iż prof. Wacek z taką tezą stoi dość odosobniony.

I ja również, acz mam wielki dla sportów szacunek i pojmuję ich doniosłe znaczenie dla wychowania narodu, dla jego tężyzny, a nawet dla jego politycznego wśród innych narodów prestige'u z ideą, by myślistwo było sportem, pogodzić się nie mogę, choć oczywiście i ono do tężyzny naszego narodu niewątpliwie walnie się przyczynia. Nie pogodzę się z tą ideą przedewszystkiem dlatego, że myślistwo ze stanowiska sportu traktowane i do niego zaliczane, miałoby tak licznych przeciwników, iż nawet przez kilka dalszych lat ostaćby się nie mogło. Jest bowiem rzeczą nie dającą się zaprzeczyć, że myślistwo ma nieraz interesy sprzeczne z rolnictwem, z „wysoką“ rzekomo kulturą lasów (polegającą jak dziś rzeczy stoją na rabunkowej ich eksploatacji) i z wielu innemi gałęziami kultury. Na takie ataki, na jakie łowiectwo, uważane jako sport, narażonem by było, nie są narażone ani piłka nożna, ani saneczki, ani narty, ani lekka atletyka, boć one nikomu solą w oku nie są, a interesy ich w żadnej sprzeczności z interesami kultury krajowej stanąć nie mogą. Ale też sporty te i wszystkie inne, mając dla narodu wyżej określone znaczenie moralne, nie mają jednak dlań znaczenia ekonomicznego lub mają je tylko pośrednio i to w bardzo małej mierze. Takiego znaczenia ekonomicznego i to bezpośredniego nie można natomiast zaprzeczyć łowiectwu. Wykazywało to już wielu pisarzy myśliwskich, a w najnowszych czasach pisali o tem dr. Schechtel i F. Rożyński, tudzież p. Janta Połczyński i inni. Mając znaczenie dla ekonomicznego rozwoju państwa, musi być łowiectwo zaliczone do teoretycznie między sobą równouprawnionych, różnorodnych gałęzi kultury krajowej, a ustępuje innym gałęziom tej kultury tylko tam, gdzie tego widoczny a przeważny interes polityki ekonomicznej narodu i państwa wymaga. Prócz tego pierwszorzędnego zadania, łowiectwo zajmuje się jeszcze ochroną naszej, że tak powiem, pierwotnej fauny, a nawet po części flory, w których to usiłowaniach (a tu interes jego nawet częściej znajdzie się w sprzeczności z interesami innych gałęzi kultury) kroczyć powinno zgodnie z Państwową Komisją Ochrony Przyrody, jej usiłowania popierać i od niej poparcia wzajemnie żądać.

Z tych ostatnio przytoczonych powodów także więc ze stanowiska zasadniczego myślistwa do sportów zaliczać nie można, a zaliczania takiego nie usprawiedliwia nawet fakt, że przy wykonywaniu polowania, które powinno być tylko ostatecznym rezultatem uprzedniej pieczołowitej hodowli lub przynajmniej rozumnej ochrony posługujemy się przeważnie (ale nie wyłącznie) środkami wymagającymi dobrego oka, pewnej ręki i zdrowych nerwów. Jest pożądanem, by myśliwy odznaczał się wprawą w strzelaniu, w jeździe konnej, powożeniu końmi itp. nieposiadanie tych przedmiotów jednak, a raczej posiadanie ich w mniejszym tylko stopniu nie odsądza go jeszcze samo przez się od szczytnego miana „myśliwego“, którym nieraz jest więcej strzelec mierny od najlepszego mistrza w strzelaniu. Opowiadają n. p., że ś. p. Kazimierz hr. Wodzicki był strzelcem miernym, niemniej pozostanie on na zawsze chlubą naszego łowiectwa w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu, bo łowiectwa, wykonywanego przezeń równocześnie z przyrodoznawstwem, co stanowi również jedno z poważnych zadań każdego myśliwego, mającego pewne przygotowanie naukowe.

Ze sportem graniczyć może (ale tylko dla za-

proszonego gościa, nigdy zaś dla gospodarza — hodowcy), masowe strzelanie zajęcy i kuropatw w kociołkach lub strzelanie sztucznie wywodzonych bażantów, a będzie nim strzelanie bażantów, na kilka dni przedtem do rewiru sprowadzonych (jak to bywa we Francji), a tem bardziej strzelanie gołębi owo „tir aux pigeons“, nie mające z myślistwem nic wspólnego, a wielu myśliwym mało sympatyczne.

Nasze myślistwo krajowe ma przed sobą właśnie obecnie ogrom zadań, między którymi wyłonienie z siebie najlepszych strzelców dla przyszłej Olimpiady nie jest bynajmniej najważniejszem, choć jeżeli ich ma, co jest prawdopodobne, boć strzelanie to środek w myślistwie dziś najwięcej używany i bądź co bądź najszlachetniejszy, to niechaj ich wyłoni, lecz nie ku chwale myślistwa, a sportu.

I dlatego nie rozumiem dlaczego prof. Wacek w artykule zatytułowanym słowami, między któremi znajdują się i takie, które ze sportem nie mają nic wspólnego, wszczął w nim właśnie alarm o losy przyszłych zawodów olimpijskich i udziału w nich naszych strzelców. Nie rozumiem nadto tego alarmu tem-mniej, skoro prof. Wacek w tymże samym artykule pisze, że Związek Związków Sportowych poruczył organizację zawodów o mistrzostwo polskie w strzelaniu P. Z. M. będącemu już członkiem Związku Związków Sportowych i że P. Z. M. ten mandat przyjął. Skoro tak się stało, to możemy się tylko cieszyć, że sprawa znajduje się w dobrych rękach, a każdy pragnący być do zawodów zakwalifikowanym, powinien poddać się odnośnym zarządzeniom P. Z. M., a to choćby nawet tylko ze względów czysto oportunistycznych, boć chyba sam prof. Wacek przyzna, że nie czas teraz spierać się o to, czy organizacją tych zawodów ma się zająć P. Z. M., który już jest członkiem Związku Związków Sportowych i tą sprawą już się zajął czy też C. Zw. P. St. Ł. jakoteż Małop. Tow. Łowieckie, które prof. Wacek wezwał do wypowiedzenia się w tej sprawie w swym „Łowcu“ a które poprą najgoręciej usiłowania P. Z. M. w godnem wywiązaniu się z przyjętego na się obowiązku, mającego wprawdzie mało co z myślistwem narodowem, lecz dużo z chlubą naszego narodu, wspólnego.

Wkońcu notuję, że, o ile mi wiadomo, M. T. Ł. otrzymało już odezwę P. Z. M. zapraszającą do poparcia go w staraniach około sprawy wysłania najlepszych strzelców na Olimpiadę.

Dr. Alfred Sander.

Polowanie na ptactwo w Azji Środkowej.

(*Dokończenie*).

W Ferganie, zaludnionej bardzo gęsto, dropie spotykają się rzadziej niż w mało zaludnionych stepach koło morza Aralskiego i trzymają się małemi stadkami po 25 sztuk. Raz tylko zdarzyło mi się spotkać 11 sztuk żerujących w znacznem oddaleniu, tak, że nie mogłem zdać sobie sprawy, czy to było jedno stado, dwa czy też więcej.

Było to późną jesienią, padał drobny przenikający deszczyk. Jechałem w służbowych sprawach na arbie krok za krokiem. Woźnica jadąc powoli pośpiewywał, jak to zwykle wieśniacy, pracujący w polu— okrążając stadko i stopniowo zacieśniając koło. Stadko dreptało na miejscu — przesuwając się powoli to w jedną, to w drugą stronę. Na koniec przy trzecim objeździe widząc, że stadko zaniepokojone ma zamiar odlecić—zsunąłem się ostrożnie z arby, która nie zatrzymując się jechała dalej—i przypadłem do ziemi, trzymając w ręku kawaleryjski karabin Berdana. Do dropi było co najmniej 350 kroków, lecz sądząc, że odlatują, dałem ognia. Jeden padł a drugiemu, który w chwili strzału rozpostarł skrzydła — kula je przetrąciła. Reszta uleciała. Drop o jednym skrzydle nie mógł oderwać się od ziemi i począł szybko uciekać na piechotę. Pobiegłem za nim, strzelając raz po raz, lecz zdyszany, z trzęsącemi się rękami, najfatalniej chybiałem, a oddzielająca nas przestrzeń ciągle rosła. Straciłbym napewno ranionego dropia, gdyby nie woźnica, który, zobaczywszy sytuację, szybko wyprzągł konia, dopędził dropia i dobił go uderzeniami nahajki.

Dropie były ogromne, tłuste i ważyły około trzydziestu funtów.

Strepietów jesienią spotykałem dużo, a kuropatw moc. Jadąc stepem, czy też śród zżętych pól widziałem stadka ich podrywające się co chwila. Miałem konia, który nie bał się strzałów. Biłem więc strepiety i kuropatwy nie schodząc z konia, często w olbrzymiej ilości. Wogóle, wszelkiej zwierzyny podówczas w Turkiestanie była tak wielka ilość, iż jak się wyraził kiedyś legendarny pogromca tygrysów Gamow [1]) „ludzie by prawdzie nie uwierzyli“.

Pozostały jeszcze ułary,(indyki Himalajskie) i kakliki (kurki skalne).

O ułarach (indykach tybetańskich) wspominałem [2]) już.

Kakliki [3]) — to złocistego koloru kurki z pstremi piórkami w skrzydełkach i białym brzuszkiem,—z mięsem tak białym jak u jarząbka, lecz prawie dwa razy większe od niego. Trzymają się po wszystkich górach Środkowej Azji, poczynając od skalistych przedgórzy aż do miejscowości bardzo wysokich. Spotykałem je nawet na wysokości 3500 metrów n. p. m. o ile rosły tam jeszcze krzewy jagodowe, będące podstawą ich egzystencji. W zależności od rodzaju jagód mięso kurek posiada najrozmaitsze aromaty. Opierzenie ich tak jest podobne do otaczających skał, że trudno byłoby je odszukać, gdyby nie gdakanie kogucików, które głośnem echem rozlega się po wąwozach, wskazując z daleka kryjówkę kaklika. Koguciki mają łebek i szyjkę jaskrawo upierzone i wyglądają bardzo zalotnie. Kakliki przed pościgiem uciekają długo na piechotę, podnoszą się ciężko do

[1]) Patrz „Przeglądu Myśl.“ Nr. 9

[2]) („Przegląd Myśliwski“ Nr 17).

[3]) Perdix sp.?

lotu, przelatują wąwóz i zapadają po przeciwnej jego stronie.

Dla kaklika—to przelot kilkusetmetrowy, dla myśliwego to stracona zwierzyna, bo pół dnia trzebaby zmarnować, żeby spuścić się na dół i znowuż się podnieść na wierzchołek przeciwległego zbocza.

Pomimo szalonego prześladowania kaklika przez myśliwych z powodu wyjątkowo smacznego mięsa, a także mimo wielkiej ilości wrogów: lisów, gronostai, kun, łasic, sokołów i jastrzębi, kaklików w górach o każdej porze roku jest bardzo dużo. Pisząc te słowa przyszło mi na myśl, że nigdy nie widziałem gniazda kaklików. Muszą gnieździć się na ziemi, a nie na drzewach, gdyż spotykałem je z młodemi w miejscowościach, gdzie na ogromnych przestrzeniach nie było drzew, a tylko krzaki i to właśnie powiększa niebezpieczeństwo grożące ich życiu.

Wszystko razem wyrobiło w kakliku wielką ostrożność, tak, że polowanie jest dość trudne. Krajowcy biją je kulkami z lontówek, lub zapomocą łowczych ptaków. Ja strzelałem spłoszone w lot. Mięso kaklików i ułarów jest najsmaczniejsze z całej ptasiej rzeszy w Środkowej Azji.

Na tem zakończę moje wspomnienia myśliwskie.

Dwadzieścia najlepszych lat mego życia minęło śród okoliczności dających mi możność blizko poznać bajeczny podówczas zwierzostan Środkowej Azji i najniedostępniejszych debrów Himalajów, Hindukusza i Pamirów.

Potem jeszcze przeszło jedenaście lat spędziłem na Dalekim Wschodzie, gdzie przy inspekcyjnych objazdach złotodajnych kopalń—zagłębiałem się daleko w bezbrzeżną Syberyjską Tajgę.

O podróżach i przeżyciach swoich opowiem w innem miejscu. Teraz podkreślę tylko, że przez długie lata obserwując dziką przyrodę i jej mieszkańców—dzikie zwierzęta—byłem często zdumiony ich intuicją, instynktem i przedziwną zmyślnością.

Własności te zwierząt oczywiście były dobrze znane wielkim myślicielom Wschodu i być może posłużyły do rozwinięcia idei o przesiedlaniu dusz w buddyzmie, największej religji Wschodu.

W każdym razie zasługuje to na wszechstronne zbadanie. To też zaobserwowanemi osobiście faktami zdumiewającej zmyślności zwierząt podzielę się z czytelnikami „Przeglądu Myśl.“ w najbliższym czasie.

Generał *Br. Grąbczewski.*

Łowiectwo w lasach państwowych.

Knieja łączy w swem pojęciu las i jego mieszkańców. Matka przyroda uczyniła z tych dwóch czynników rodzeństwo, które ma żyć w harmonji. Takie jest prawo naczelne równowagi we wszechświecie przyrody; włodarstwo nad nim, oddane przez Boga człowiekowi, winno je szanować—inaczej zwalcza naturalny porządek rzeczy.

Panująca w obecnych czasach idea merkantylizmu — machnięcia ręką na faunę, a objęcia krótkowzrocznem okiem samego tylko drewna—to łapczywa gospodarka na krótką metę—ważąca wartość każdego polana, z dnia na dzień pozornie rosnącą. Kryje ona bardzo poważne niebezpieczeństwo — dla całej kniei.

Tematu w nagłówku chciałbym dotknąć z dwóch punktów widzenia — ze stanowiska interesów skarbu Państwa—i łowiectwa, jako takiego, wraz z jego fauną.

Dobrze zrozumiany interes skarbu, powinien łączyć w sobie obydwa powyższe kierunki. Czy tak jest w rzeczywistości?

Mojem zdaniem przeciwnie, obecny system żadnemu z nich nie odpowiada. Lasy państwowe podzielone są na rewiry myśliwskie, z których po jednym zachowano dla nadleśnictw, inne zostały wydzierżawione.

W każdem więc nadleśnictwie jest dwóch gospodarzy łowieckich: kierownik nadleśnictwa i dzierżawca polowania; każdy z nich myśli o sobie. Jeżeli kierownik nadleśnictwa jest myśliwym, nie leży w jego interesie, by knieja wydzierżawiona miała się łowiecko lepiej, jak jemu przysługująca; jeżeli nie jest myśliwym, ipso facto, rewir własny ulega zaniedbaniu, a sąsiedni na tem cierpi; i na odwrót. W każdym razie taki system prowadzi do zepsucia, nie do podniesienia ogólnego stanu łowiectwa, które jak wiadomo lokalnie da się tylko w zwierzyńcu uniezależnić od sąsiada, a na wolnych przestrzeniach można skutecznie działać jedynie na bardzo wielkich powierzchniach, ujmujących w sobie najdalsze wędrówki fauny. Na to jednostka całego nadleśnictwa jest za małą, a tembardziej poszczególne w niem rewiry. Całe grupy łączących się ze sobą geograficznie i topograficznie sąsiednich nadleśnictw, cała puszcza po prostu, jednolicie łowiecko zawiadywana, może za siebie gospodarczo odpowiadać — zależna tylko od stosunków jakie w niej stworzymy.

Z powyższego zapatrywania wychodząc, z małym wyjątkiem latifundjów prywatnych, ku kresom wschodnim położonych, tylko poszczególne grupy dóbr państwowych, mają powyższe warunki samodzielności, a obecnie panująca zasada rozdzielania ich gospodarczo na rewiry, niszczy te warunki.

Posiadacz danego rewiru, czy to nadleśniczy, czy dzierżawca, choćby był najlepszym myśliwym-hodowcą, nie wiele wskóra, gdy ma negatywnych na tym punkcie sąsiadów; a już o poważnem podniesieniu łowiectwa przez sprowadzanie zwierzyny z zewnątrz, ani o rozmnoży gatunku zagrożonego, mowy być nie może.

Powyższa okoliczność, t. j. system powierzchniowo drobnych jednostek gospodarczych, niewyczerpuje jednak ujemnych stron obecnie panujących stosunków. Natrafiamy w nich jeszcze na drugi szkopuł, trudniejszy do usunięcia — krótkie okresy dzierżawne, w poszczególnych rewirach.

Gdybyśmy mieli obecnie łowiectwo w stanie rozkwitu i wypuszczali je na pięcioletnie okresy dzierżawne, byłoby to do wytłomaczenia, gdyż gospodarz, nie potrzebując nic tworzyć, lecz tylko stan przez siebie objęty utrzymać, prędzej podoła zadaniu w krótkim okresie. Lecz my w łowiectwie, jak na tylu innych polach, po tej strasznej wojnie, literalnie wszystko „ab ovo" tworzyć musimy. Jeżeli więc gospodarz łowiecki w rewirze, przy swoim paroletnim tylko okresie władania ograniczy się jedynie do ochrony i wstrzyma od odstrzału — to już okazał przechodzący ludzką miarę altruizm, bo z zaparciem swego celu dzierżawy, podnosi rewir dla swego przypuszczalnego następcy! Ale gdzież w takim razie miejsce na konieczne ze względów gospodarczych żądania wkładów na wyższy czynsz dzierżawny, na karmę, na straż, na podchodniki, na żelaza na szkodnika, na dokupno uzupełniające zwierzyny, etc.?

Logicznie rzecz biorąc takie żądania nie wytrzymują żadnej krytyki, a są niezbędne!

Z powyższego wychodząc, trzeba więc przyznać, że zwłaszcza w obecnym czasie powojennym, nie pięcio, ale i dziesięcio-letni najmniej okres dzierżawny jest nieodzowny; — pod jednym warunkiem, że dany gospodarz rewiru, odpowiada jego potrzebom. Mowa tu naturalnie nie o urzędniku własnym, bo ten jest zależnym, ale o gospodarzu dzierżawcy, który mając za sobą dziesięcioletni kontrakt, jeżeli nie jest odpowiednim może wyrządzić ciężkie szkody własnemu i sąsiednim rewirom.

Wystarczy samo tylko niedbalstwo we wpływowym rewirze, aby w drodze rozwoju kłusownictwa i czworonogich szkodników, cała okolica gospodarczo upadła. A co takiemu panu zrobić można w czasie trwania kontraktu? — Zwłaszcza gdy personel lokalny kontent z niego, bo mu wszystko wolno, a pojęcie należytego wykonywania ochrony, to nie jest rzecz dająca się tak ściśle określić, jak np. zaległa rata podatkowa, czynsz dzierżawny nie wpłacony i t. p. braki, które ewentualnie dają uchwytny punkt do rozwiązania kontraktu!

A więc z powyższego widzimy, że już ze stanowiska administracyjnego, system drobnych samodzielnych rewirów i ich luźnego wydzierżawiania, nie rozwiązuje pomyślnie problemu, a bezwarunkowo w obecnym okresie powojennym, t. j. koniecznej regeneracji, nie jest na czasie.

Poprzednio podniosłem, że całe jednolite puszcze leśne, całe kompleksy zwartych ze sobą, a przynajmniej posiadających jednakie warunki łowieckie nadleśnictw, mogą dopiero stanowić samodzielne gospodarstwa łowieckie — i jako takie powinny być traktowane. Wtedy nie będzie luk ani wentyli paraliżujących korzystną działalność lokalną, kierownictwo z wyższego punktu widzenia obejmie lepiej każdą taką całość, jaką jest np. łowiectwo w Karpatach, lub w puszczy Białowieskiej. W takim razie inny to byłby rezultat, jak dały go nam, przy dotychczasowym systemie, pierwsze polskie lata; jeden jest tylko nieodzowny warunek, oto miarodajny czynnik musi dysponować odpowiedniemi środkami.

Aby wykazać, że łowiectwo pojmowane racjonalnie, to nie zabawka, ale poważna gałąź gospodarstwa, która nawzajem ma prawo żądania do swej dyspozycji poważnych wkładów, przejdźmy od strony finansowej systemu obecnego, rewirów dzierżawnych, do systemu, ku któremu zmierzam.

Biorę pod rozwagę tylko stosunki małopolskie, gdyż innych nie znam dostatecznie.

Z liczby około 50-ciu nadleśnictw. interesuję się narazie tylko temi, które posiadają faunę myśliwską typową karpacką—niedźwiedzia, jelenia i głuszca.

Nadleśnictwa te w ilości 15-tu[1]), o łącznej powierzchni okrągło 200,000 h odliczywszy $^1/_5$ część na rewiry własne, zfinansowują obecnie okrągło 160,000 h pod względem łowieckim.

Przyjąwszy już nawet dla wszystkich obejmujących je rewirów dzierżawnych tenutę wartości jednego zająca pro 40 h., równałoby się to 4000 szt. z przyjętą na ten rok wartością 180,000 mkp., czyli 720 miljonów mkp. Jest to dochód prawie netto—i jak od zabawki—niezły, ale pozatem, nie ma ten system, jak to wyżej podniosłem, prawie żadnych dodatnich stron za sobą.

Gdyby jednak administracja nie otrząsła się z łowiectwa na rzecz dzierżawców, jak z czegoś wstrętnego i zaczęła je traktować jako swą poważną gałęź o stałem kierownictwie, sprawa przedstawiłaby się odpowiednio poważnie także w rezultatach finansowych.

Te same 15-cie nadleśnictw o 200,000 h, powierzchni, licząc stan zwierzyny normalny, dałyby pro 2000 h, jednego jelenia, pro 10.000 h. jednego głuszca, pro 20.000 h. jednego niedźwiedzia, do odstrzału.

Licząc za strzał do jelenia po 30 q, głuszca po 3 q, niedźwiedzia po 40 q żyta, jak to jest w użyciu w tutejszych latyfundjach karpackich prywatnych, przyniosłoby to przy cenie 35 milj. mkp. za 1 q żyta: 3000+60+400 q. o wartości 12110 miljon. mkp. Byłby to naturalnie dochód brutto, od którego trzeba odliczyć wkłady, które gdyby w początkach nawet 50% pochłaniały, pozostaje już poważniejszy dochód gospodarczy sześciu biljonów mkp. I to trzeba podnieść, że byłby to dochód jedynie z 15-tu wysoko - górskich nadleśnictw, wszystkich zaś jest w Małopolsce około 50.

Przyjmując ten system stopniowo także w Podkarpaciu i nizinach, otrzyma się przy uporządkowanym stanie zwierzyny, za sam n. p. odstrzał kozłów i bażantów, bardzo poważne sumy.

Naturalnie system wypuszczania rewirów, a odstrzału, to dwa bieguny przeciwne sobie — in puncto zainteresowania się ogólnej administracji łowiectwem. Gdy w pierwszym odwraca się oczy od niego, w drugim ująć się go musi spężyście i zupełnie jednolicie w bardzo doświadczone ręce.

Regulacja odstrzału nietylko ilościowo, ale i jakościowo, to już okres żniwa—przedtem jednak trzeba mieć rewiry normalnie obsadzone zwierzyną.

Aby łowiectwo w danem nadleśnictwie prosperowało, musi nie tylko knieja nadawać się dla żądanej zwierzyny, ale personel nadleśnictwa musi łowiectwo kochać i uważać tę gałęź gospodarstwa za sobie przyjazną. Zamiłowania do łowiectwa nie można żądać, jeżeli się nie da sposobności do jego wykonywania także osobiście, rzeczą więc byłoby naczelnego urzędu łowieckiego dawanie wyrazu zadowolenia ze stanu ło-

---

[1]) Nadleśnictwa: Delatyn, Dora, Hryniawa, Jasień, Jawornik, Łopianka, Mizuń z Sołotwiną, Mikuliczyn, Niebyłów, Polanica, Rafajłowa, Suchodół, Tatarów, Worochta i Zielona.

wiectwa w danem nadleśnictwie przez przyznawanie odpowiedniego odstrzału zasłużonym.

Nawzajem łowiectwo poda bardzo pomocną rękę administracji, robiąc z jej członków, myśliwych. Wiadomo, że oko myśliwego tam sięgnie w rewirze, gdzie najtęższy biurokrata nigdy nia zajrzał.

O ile każdy nielegalny strzał do zwierzyny powinien mieć takie skutki dla personelu, jak włamanie się do kasy, naodwrót całkiem poważny procent z dochodu za sprzedany strzał, powinien przypadać personelowi odpowiednio do zasług rozdzielony.

W myśl powyższego, kierownikiem nadleśnictwa o poważnych warunkach dla łowiectwa powinien bezwarunkowo być myśliwy.

Wszystkie zasadnicze wymogi łowiectwa, są dla administracji lasów również niezbędne, n. p. opanowanie dzisiejszych, dewastujących je wypasów bydłem, utrzymywanie ścieżek i t. p. — to są wspólne troski ochrony, tem samem naczelny inspektorat Łowiectwa, a raczej lepiej duchowi polskiemu odpowiadający — urząd Łowczego danego kompleksu nadleśnictw, może i powinien się solidaryzować z ogólną administracją tego kompleksu.

Łowiectwo w powyższem rozumieniu, ma być benjaminkiem, a nie kopciuszkiem naczelnej administracji.

Powyższy artykuł przesyłam Szanownej Redakcji w tej nadziei, że jakkolwiek zawiera on tylko krótki szkic sprawy, aby nie przekraczać granic jednolitego umieszczenia, wystarcza jednak dla zwrócenia uwagi na przedmiot, które zdaje mi się podwójnie aktualnym Nie tylko bowiem na czasie jest wszystko czynić, aby podnieść zamarłe skutkiem strasznej wojny łowiectwo,— lecz w okresie usiłowań uzdrowienia Skarbu Państwa, gdzie na każdem polu pracują redukcyjne komisje, a więc sanacyjna praca wre w kierunku negatywnym,— powinno się równocześnie tworzyć, gdzie tylko można, współrzędną aktywną czynność rozwojową, o ile ona dochodów przysporzy.

Dr. Władysław Burzyński.

Z TOWARZYSTW MYŚLIWSKICH.

Płockie Towarzystwo Racjonalnego Polowania.

Płockie Towarzystwo Racjonalnego Polowania nadsyła nam następujące pismo, które wystosowało do Przewodniczącego Płockiego Sejmiku Powiatowego:

W prasie ogólnej i specjalnej, w stowarzyszeniach myśliwskich i przemysłowo-łowieckich oraz wśród poważniejszych myśliwych coraz częściej daje się słyszeć narzekania, że sfery miarodajne zbyt mało uwagi zwracają na dziedzinę bogactwa krajowego, jakie przedstawia zwierzyna łowna, i patrzą na polowanie, jako na pańską zabawę, którą należy o ile możności „zdemokratyzować“.

Skutek źle pojętej demokratyzacji łowiectwa jest ten, że nie mamy już żubrów, pozostawionych nam jeszcze przez okupantów, że bobry doszczętnie wytępiono, że z łosi, kozic i świstaków dożyły dotąd tylko pojedyńcze egzemplarze, że zwierzostan jeleni znacznie podupadł, że sarna i zając w wielu okolicach jest rzadkością.

Przy dalszem trwaniu takiej „demokratyzacji“ doczekamy się w niedługim czasie, że w muzeach obok wypchanych wielkich czworonogów znajdziemy i zająca, jako zabytek przeszłości, a pokolenia nasze urągać nam będą, iż nie umieliśmy umiarkowanie korzystać z bogactw natury, lecz doszczętnie je zatracili.

Zgubna ta „demokratyzacja“ zasadza się na tem, że każdy, przedstawiający dowód posiadania 150-morgowego terenu na polowanie, otrzymuje prawo użytkowania z broni myśliwskiej.

Większość posiadaczy kart łowieckich stara się jaknajwięcej wykorzystać to prawo, depce niemal codziennie swoje 150-morgowe tereniki i wystrzeliwa wszystko pożyteczne, co biega i fruwa.

Taki posiadacz broni ani chwili nie pomyśli o tem, aby zostawić część zwierzyny na rok przyszły dla rozmnoży, aby ochronić ją od jastrzębi, wron i wałęsających się psów i kotów, aby podkarmiać ją w zimie, jako porze najcięższej, lecz, jeżeli da zwierzynie trochę paszy, to jedynie poto, by ją przy niej zastrzelić.

Z największą przykrością musimy skonstatować fakt, że w latach niewoli mieliśmy znacznie więcej zwierzyny, niż obecnie w Wolnej i Niepodległej.

Rządy zaborcze robiły ogromne trudności przy wydawaniu pozwoleń na broń. Prawda, robiły to więcej ze względów politycznych, lecz pośrednio, przyznać trzeba, nie dopuszczały w ten sposób do masowego tępienia zwierzyny łownej. Obecnie zaś względów tych niema, przeto i posiadaczy broni, szkodliwych dla zwierzostanów, mamy aż zbyt wielu. Jeżeli do ich liczby dodamy ciągle wzrastającą ilość kłusowników, sidlarzy i wnykarzy, łatwo zrozumieć, jakie ogromne niebezpieczeństwo wisi nad naszą zwierzyną.

Periculum in mora!... Należy więc przedsięwziąć jaknajenergiczniejsze kroki, aby zapobiedz katastrofie.

Zważywszy, że teren 150-morgowy jest zamały, by na nim można było poprowadzić jaką taką gospodarkę łowiecką, Płockie Towarzystwo Racjonalnego Polowania prosi Sejmik o uchwalenie wniosku, podnoszącego w powiecie Płockim minimum terenu, określonego przez prawo dla ubiegania się o pozwolenie na broń myśliwską, do 500 morgów.

Zaznaczamy, że podobne uchwały sejmików powiatowych zapadały już w niektórych starostwach i przez to uchroniono zwierzynę od ostatecznej zagłady.

Dodajemy, że posiadający mniejsze tereny, lecz chcący przytem używać wrażeń myśliwskich, mogą przekazywać te tereny na rzecz Towarzystwa i zapisywać się w poczet jego członków z warunkiem zastosowywania się do przyjętych przez nas przepisów wogóle, a co do ochrony zwierzyny łownej i polowania w szczególności.

B. Włodkowski.
Prezes.

Tow. Myśl. w Rohatynie.

Tow. Myśl. w Rohatynie polowało dnia 1.XII w Koniuszkach; Strzelb 12, na rozkładzie 3 lisy i 3 zające. Powiat rohatyński słynął dawniej z wiel-

kiej ilości zwierzyny. Dziś mała opieka Starostwa, wydzierżawianie terenów przez chłopów - kłusowników, prawie żadna opieka ze strony Tow. Myśl. w Rohatynie, przyczyniły się do tego, iż powiat rohatyński należy stanowczo zamknąć dla polowań. Zając i sarna przetrzebione zupełnie, nawet dzików mniej, lis również rzadki, kuropatw nie ma. Zato moc myśliwych, których wojna zrodziła a w Tow. Rohatyńskiem resztki starej przedwojennej wiary, którzy pamiętają lepsze czasy. Obecny starosta nie myśliwy, komendant żandarmerji zato zawielki myśliwy, a w każdej wsi chłopi-kłusownicy. Smutny i beznadziejny stan.

T-wo Łowieckie na pow. radomskowski.

Na pierwszem organizacyjnem ogólnem zebraniu powołano na najbliższe 3 lata zarząd w osobach: pp. dr. Zwoliński, inż. Imieniński, W. Karmański, starosta Harmata, J. Kowalczyk, dr. M. Niewiarowski, A. Jędrzejczyk, T. Dębski, dr. J. Stanisławski, A. Mękwiński, J. Czyż, E. Słotwiński. Do Komisji Rewizyjnej pp. dyr. Borszewski, ks. pref. Dziuda i J. Grabarczyk.

Łowickie Kółko Myśliwskie.

Zarząd uchwalił dopłaty do składki członkowskiej za r. b. w sumie 400.000 mk.

Kronika myśliwska.

(Prosimy Sz. Czytelników o jaknajliczniejsze przesyłanie nam materjału z odbytych polowań do powyższej rubryki).

Z ziemi Lubelskiej.

W dniu 11 grndnia b. r. na terenach dzierżawionych przez Jawidzkie kółko myśliwskie od J. W. Hr. Ostrowskiego, odbyło się polowanie na którym w 19 strzelb ubito 250 zajęcy 1 rogacza 1 lisa i słonkę. Największą ilość na rozkładzie mieli pp. Jan Koźmian z Wierzchowisk, i Jerzy Koszarski z Siennicy Różanej, z których pierwszy miał 21 zajęcy i słonkę, drugi 21 zajęcy i rogacza.

Polowano przy bardzo pochmurnej pogodzie prawie wyłącznie w lesie. Jeden kocioł.

Z poważaniem
Czesław Hincz.

W dniu 17 b. m. na terenach dzierżawionych przez Zawieprzyckie Kółko myśliwskie od J.W. Hr. Jana Ostrowskiego odbyło się polowanie przy fatalnej pogodzie na którym ubito 2 dziki, 1 rogacza, 1 lisa, 84 zające i słonkę. Zwierzostan lasów zawieprzyckich stoi bardzo wysoko. Naganka prowadzona była znakomicie, Dyrektor kółka p. Czesław Hincz podejmował uczestników polowania z niezwykłą gościnnością.

J. E.

Z ziemi Kaliskiej.

W Krakowicach, w majątku pp. Sukcesorów ś. p. Teodora Endera w powiecie Wieluńskim, odbywało się polowanie przez dwa dni t. j. 10 i 11 grudnia 1923 r. W 10 strzelb zabito 404 zające, 10 królików, 2 cietrzewie, 15 bażantów i 1 lisa. Królem polowania był p. Teodor Ender, który miał 65 sztuk na rozkładzie. Stan kuropatw jest doskonały. Przeglądając jednak zapiski Nadleśnictwa z lat przedwojennych, rezultat polowania można nazwać ujemnym, gdyż naprzykład w 1911 r. ubito 1260 sztuk, w 1913—1026 sztuk różnej zwierzyny łownej. Przypisać to można mocno rozwiniętemu kłusownictwu, z którem nieraz formalne walki staczać trzeba. Mam jednak nadzieję, iż w przyszłym roku rezultat polowania będzie lepszy, tymbardziej iż właściciele dóbr pp. Enderowie nie szczędzą kosztów, wypłacając straży leśnej sowite nagrody za wykrycie kłusowników. tudzież płacąc wysokie strzałowe za drapieżniki i sprowadzając zwierzynę z innych stron dla krzyżowania rasy.

(nadleśniczy) *I. Kruszyński.*

Z Małopolski.

W Jagielnicy w dniu 6 list. odbyło się polowanie w Kotłach u p. K. hr. Lanckorońskiego, Strzelb 10; na pokocie 56 zajęcy i 2 słonki.

W Baliczach (Stryjskie) u p. A. Simona w 4 strzelby ubito 2 dziki, 3 lisy, 4 kozły i 10 zajęcy.

W Czołhanach (Stryjskie) u p. A. Onyszkiewicza w dn. 17/XI w 6 strzelb ubito 1 dzika, 3 lisy, 7 zajęcy i 8 słonek.

W Średniej na polowaniu Miejskiego Tow. Myśl. we Lwowie w 18 strzelb ubito 3 kozły i 15 zajęcy.

W Kalenicy (Koło Łupkowo) p. St. Wiktor ubił na rykowisku 2 piękne jelenie (szesnastaka i dwunastaka).

W Rodatyczach u p. Z. Streera dn. 1 grudnia w 4 strzelby ubito 17 zajęcy i lisa.

Ze Śląska Cieszyńskiego.

„Koło Myśliwskie przy Zarządzie Stadnin Państwowych urządzało dnia I.XII r. b. polowanie na terenie Pruchna na Śląsku Cieszyńskim. W 15 strzelb ubito 132 zające, 10 bażantów i 3 króliki.

Królem polowania był p. Jerzy Grabowski, który miał na rozkładzie 17 zajęcy, 3 bażanty i 1 królika".

Z pod Brześcia.

Obławy na wilki nie dały należytych wyników. Ostatnio w majątku Ruda (gospodarstwo rybne) wilki z psiarni p. A. Zalewskiego porwały dwa większe psy. Zwabione ukazały się na drodze w ilości 5 ciu sztuk. Zarządzona na drugi dzień obława nie dała żadnego rezultatu.

Od Redakcji i Administracji.

W myśl poprzedniej zapowiedzi naszej, zgodnie z życzeniem 90% naszych Prenumeratorów postanowiliśmy dać dodatkowy numer zawierający najważniejsze artykuły z pierwszych wyczerpanych już oddawna numerów „Przeglądu Myśliwskiego".

Część artykułów tych dajemy poniżej, część zaś damy w drugim numerze styczniowym.

W ten sposób wszyscy czytelnicy posiadać będą komplet najciekawszych prac. Dalsze ciągi prac z Nr. 23 zamieścimy w numerze noworocznym.

Dopłata za numer powyższy wynosi 150 tys. mk. którą to sumę prosimy wpłacić łącznie z prenumeratą za styczeń 1924 r.

Załączamy przytem blankiety nadawcze do P. K. O.

Polowanie na Jaki.

Czytając ostatni numer „Przeglądu Myśliwskiego" — mimowoli cofnąłem się myślą wstecz, do czasów, kiedy służąc długie lata w Azji Środkowej, z polecenia Towarzystwa Geograficznego odbywałem podróże na Pamir, do źródeł rzeki Indus, badałem pustynię Raskemu i docierałem do Tybetu, wzdłuż północnych zboczy Himalajów.

Polowałem wtedy na wszystko, począwszy od dzikich jaków, tygrysów, dzikich baranów (ovis Poli), niedźwiedzi i kozłów skalnych — do wszelkiego ptactwa włącznie. Nie gardziłem niczem. Polowałem nietylko dla sportu, lecz celem zdobycia żywności, gdyż nieraz los i życie całej ekspedycji zależało od tego, co się udało upolować.

Opowiem najpierw, jak mi się udało zabić pierwszego Jaka.

Było to w grudniu 1888 roku. Ekspedycja moja przeszła Pamir, pustynię Raskemu, przecięła około Szachiduła Chodżi drogę karawan, wiodącą z Indyj do Zach. Chin i idąc kilka miesięcy krajem, położonym 12—15 tysięcy stóp nad poziomem morza, dotarła pustyń północno-zachodniego Tybetu.

Pasmo Himalajów piętrzyło się na południu, góry Kuen-luń, na północy tworzyły olbrzymie płaskowgórze pełne jezior, urwisk i przełęczy. Doliny i zbocza pokryte były grubym żwirem. Nigdzie nie widać było drzewa ani krzaku i tylko na brzegu jezior i koło lodowców, na śniegu wzrastała nikła trawa, służąca za pokarm antylopom, dzikim osłom i jakom.

Posuwaliśmy się na wschód z nadzwyczajnym wy[illegible]siłkiem, bo mróz dochodził do 36°C., a przytem ze św[illegible]tem poczynał się wicher dochodzący około 2 p. p. do [illegible]siły huraganu, który niosąc żwir i skalne odłamki smaga[illegible] do krwi twarze i ręce podróżników i milknął dopiero o[illegible]koło zachodu słońca. Jako paliwo zbieraliśmy pomiot zwie[illegible]rzęcy, a także w wielkiej ilości rosnące wszę[illegible]dzie korzonki s[illegible]molistej rośliny „terskien". Szczególniej tru[illegible]dno było zdoby[illegible] wodę dla koni, które lizały lód i wieczny śnieg, ale nie mogły tem ugasić trapiącego ich pragnienia. Dostać zaś wodę z jezior było bardzo trudno z powodu grubej powłoki lodu, dochodzącej do metra i z powodu braku odpowiednich przyrządów.

Posuwaliśmy się w ten sposób o 25—30 kilometrów dziennie, dążąc na wschód, do zaludnionej części Tybetu, gdzie miałem zamiar zatrzymać się dłużej w celach naukowych.

Ślady jaków i świeży ich pomiot spotykaliśmy dosyć często, idąc już tydzień przez pustynię, ale samych zwierząt nie udawało się nam zobaczyć. Z niecierpliwością oczekiwałem chwili spotkania z tem największem zwierzęciem Azji, które nie tylko zaopatrzyłoby nas na długo w zapas świetnego mięsa, ale i dostarczyłoby też mocnej skóry do obuwia, potrzebującego już naprawy.

Jak zwykle jechałem na przedzie ekspedycji, robiąc przy pomocy busoli zdjęcia topograficzne miejscowości i mając przy sobie jednego kozaka i krajowca myśliwego, który przyłączył się do nas w Szachiduła-Chodża. Cała karawana ciągnęła o parę kilometrów z tyłu, żeby nie płoszyć zwierzyny. Właśnie wjechaliśmy na niewielki pagórek, żeby określić dalszy kierunek drogi, gdy wtem krajowiec-myśliwy błyskawicznie zeskoczył z siodła i cofnął mego konia za zbocze pagórka, szepcząc wzruszonym głosem: „Jaki! Jaki!"

Powierzyliśmy konie kozakowi, każąc mu wracać do karawany, a sami z zapartym oddechem na brzuchu popełzliśmy na pagórek, żeby rozejrzeć się w sytuacji.

Ukrywając się za skałą, spojrzałem na dół i zobaczyłem o jakie 500—600 metrów, stado jaków żerujących na łące około zmarzniętego jeziora. Było tam 16 sztuk starych jaków i kilka młodych. Parę krów leżało oddzielnie na śniegu. Na zboczu przeciwległej góry stał wspaniały stary Jak z ogromnemi rogami, leniwie szczypiąc trawę. Od czasu do czasu podnosił głowę i [illegible]łącznie oglądał okolicę swemi małemi

ale bystremi oczkami. Pomimo silnego wiatru powietrze było tak czyste, że widziałem jasno każdy ruch zwierzęcia.

Dalej widać było kilka stad antylop, które zawsze trzymają się około większego stada jaków, szukając w nich opieki przed wilkami, a jeszcze dalej, prawie na drugim końcu jeziora — czerniało olbrzymie stado dzikich osłów (kulanów), ruchliwie przesuwających się z miejsca na miejsce.

Zbadawszy miejscowość, cofnęliśmy się pośpiesznie celem odbycia narady, jak zaatakować zwierzęta. Pełznąc wprost przed siebie, niepodobna było podejść na strzał, gdyż zbocze zwrócone do jeziora było zupełnie nagie i pojawienie się nasze, albo spłoszyłoby jaki, albo też pobudziłoby je do wściekłego ataku na nas. Szarżujące stado rzuca się i tratuje kopytami wszystko po drodze, a bijąc rogami o ziemię, wyrzuca w górę odłamki kamieni.

Po naradzie postanowiliśmy obejść stado od południa, podpełznąć do miejsca gdzie stał prowodyr stada, korzystając z łożyska suchej o tej porze rokurzeczki.

Czekały nas trudy ogromne. Trzeba było obejść wokoło po zboczach pagórkow około 3-ch kilometrów, podnieść się znowu na wzgórze i pełznąć głową na dół po stromem łożysku, zawalonym wielkiemi kamieniami. Z powodu mrozu i szalonego wiatru miałem na sobie oprócz lekkiego futerka jeszcze bekieszę na oposach; prócz tego bardzo przeszkadzał mi pas z ładunkami, oraz ciężka broń odtylcówka, którą stale nosiłem przewieszoną przez ramię, a którą pełznąc, musiałem trzymać w rękach. Jeżeli dodać do tego, że cała miejscowość wznosiła się do 16 tys. stóp nad poziomem morza i że na takiej wysokości z powodu rzadkiego powietrza wogóle każdy wysiłek powoduje ciężkie ataki duszności—łatwo sobie przedstawić w jak opłakanym stanie byłem po 2-ch godzinach zmęczenia, kiedy według obrachunku mego towarzysza mogliśmy nareszcie wyjrzeć z poza urwistego brzegu łożyska, po którem pełzaliśmy dotąd. Czułem się fatalnie. Pomimo mrozu byłem cały mokry od potu, ręce mi się trzęsły, w skroniach dudniało i oddechu złapać nie mogłem. Potrzebowałem najmniej 10—15 minut na wypoczynek, żeby przyjść do siebie i przygotować się do celnego strzału, do walki na śmierć i życie.

Towarzysz mój, jako krajowiec, obyty z miejscowemi warunkami, czuł się znacznie lepiej i naglił mię, bojąc się, że stado żerując odejdzie w drugą stronę łąki i do strzału nie dojdziemy.

Na szczęście obawy jego nie sprawdziły się i kiedy nareszcie opanowałem się na tyle, że mogłem spokojnie podnieść się i wyjrzeć z za wyrwy, to okazało się, że Jak, do którego skradaliśmy się, leży o jakie 150 kroków na łące i drzemie z brodą opartą o ziemię.

Większość stada odpoczywała także—zbliżało się południe; tylko jeden samiec stojący na straży poczuł nas, podniósł głowę, chrapał głośno wciągając powietrze i niecierpliwie bił ziemię kopytami.

Nie mieliśmy chwili czasu do stracenia. Do dobrego strzału Jak leżał trochę za daleko, a głównie na przeszkodzie stało to, że umieścił się w jakiemś wklęśnieciu terenu, tak że tylko grzbiet kolosa było dobrze widać. Lecz wyboru nie było. Przed nami za wyrwą miejscowość była otwarta i równa; żadnego kamienia, żadnej skały, nic, coby mogło posłużyć za ukrycie w razie ataku rozszalałego stada. Bo według opowiadania mego towarzysza, jeżeli stado szarżuje, to leci jak burza, tratując kopytami i bijąc rogami wszystko na swej drodze. Ale przelatuje tylko raz, nie wracając nigdy z powrotem. Jedynym więc ratunkiem po strzale jest schronienie się za jakimkolwiek kamieniem, gdyż instyktownie omijają przeszkody na swojej drodze. Postanowiliśmy strzelać. Uklęknąwszy bez szelestu wysunęliśmy broń. Towarzysz mój zapalił lont, oparł lufę na podpórce i... w chwili, kiedy jak, poczuwszy nas podnosił głowę, daliśmy ognia. Jak zerwał się, wysoko podskoczył, okręcił się na miejscu, szukając wroga i ruszył ku nam. Wszystko to trwało tak błyskawicznie, że nie zdążywszy włożyć nowego ładunku do ekspresu, musiałem przypaść do wyrwy, gdyż dzika bestja pędziła wprost na mnie. Całe stado szarżowało w naszą stronę szalonym pędem i z tak ogłuszającym hukiem, jakby konna baterja wyjeżdżała na pozycje; lecz przeleciawszy przez wyrwę o kilkadziesiąt kroków od nas—popędziło dalej w step.

Po wystrzale towarzysz mój spuścił psa ze smyczy, który ze wściekłem szczekaniem rzucał się na pędzącego jaka, podskakując do łba straszliwego potwora i zręcznie chroniąc się przed uderzeniem jego kopyt i rogów. Jak zapomniał o nas: sądząc, że widzi wroga przed sobą, popędził za psem, który wciąż wściekle ujadając, odprowadził go daleko, zatoczył krąg, a następnie zaczął podprowadzać olbrzyma ku nam, Jak wracał osłabiony, wyczerpany, z wysuniętym czarnym ozorem, z którego toczyła się krwawa piana. Z głębokiej rany pod krzyżem lała się obficie krew.

Przygotowałem się do strzału spokojnie i wyczekawszy odpowiedniego momentu, dałem ognia mierząc pod łopatkę.

Otrzymawszy ten postrzał, jak zachwiał się, upadł na kolana, parę chwil zębami szarpał ziemię, a potem upadł na prawy bok, obficie brocząc farbą, którą chciwie spijała zzjajana psina.

Po przeżytych wrażeniach i poprzedniem zmęczeniu czułem się tak wyczerpany, że kroku stąpić nie mogłem, to też towarzysz mój zostawił mię z psem przy zabitym jaku, żeby bronić go od szakali, które jak z pod ziemi wyrosły dokoła i czując ucztę pojękiwały zdaleka, a sam poszedł sprowadzić naszą karawanę.

Wkróce zjawił się kozak z koniem, rozpalił ogień, nabrał śniegu do czajnika i zajął się przygotowaniem dobrze zasłużonej herbaty. Przed wieczorem nadciągnęła karawana i rozłożyła się na łące nad jeziorem.

Ponieważ to był pierwszy zabity dziki jak, którego ludzie moi widzieli, więc zachwytom końca nie było. I rzeczywiście jak był olbrzymi: ważył przeszło 2000 funtów.

Trzeba było ściągnąć skórę przed jej zamarznięciem. Robota to była bardzo uciąźliwa, ponieważ nie było ani czem, ani na czem oprawić takiego olbrzyma.

Wzięliśmy skórę, która bardzo była nam potrzebna, tłuszcz, a także smakołyki, do których należał ozór, garb, polędwica i pieczenie. Resztę zostawiliśmy na ucztę wilkom i szakalom.

Skóra taka, wysychając na obuwiu, przybierała kształt nogi i, jak kalosze, chroniła nogi od zimna, a obuwie od ostrych kamieni.

Generał *Bronisław Grąbczewski.*

Na tokach.

Szeroko rozwinęła wiosna swe natchnione skrzydła nad białoruską ziemią. Wielkie śniegi w głębi borów osiadały i ginęły w oczach, a leśne błota stały pod wodą, z której wyłaniały się kępy mchu, zdobne w różańce przemarzłych, nalanych kwaśnym sokiem żórawin.

Na poczerniałej, rozmokłej ziemi zaczynało budzić się życie i wartki prąd jego zataczał coraz szersze kręgi, obejmował i brał w ramiona świat cały.

Noce nastały ciepłe, przesiąkłe wilgocią. W nieprzebitych ciemnościach powietrze rozbrzmiewało szumem i świstem licznych rzesz ptasich, lecących na Północ, a nad szerokiemi rozlewami, marszczonemi przez ciepłe podmuchy, śmigały w jasnych promieniach słońca stadka kaczek i kulików.

Rzeka zrzuciła pęta lodowe i toczyła teraz wolno przez podmokłe lasy swe nabrzmiałe wodą nurty, Miejscami rozlewała szeroko, zatapiając błota i łąki, i wówczas, jadąc łodzią, miałeś wrażenie, że się znajdujesz na bezkreśnej wodnej przestrzeni. Olszniaki stały ciche, niedostępne dla stopy ludzkiej, odbijając ciepłym bronzowym kolorytem od żółtej nadbrzeżnej trzciny.

Szymon Lewczuk żył jakby w ciągłem upojeniu. Zdawało mu się, że zbiedzona jego i sponiewierana dusza odradza się wraz z nowem życiem, budzącem się pod żywiołowem tchnieniem wiosny. Rwał się do czynu, więc całemi dniami wędrował po lesie, zaznajamiając się w grubych zarysach z terenem przyszłej swej pracy. Przewodniczyli mu kolejno leśnicy, oprowadzając po swych obrębach, ale nie docierali wszędzie, posługując się przeważnie istniejącemi drożynami i ścieżkami.

Widział więc wysokopienne wspaniałe bory sosnowe, tak poważne i majestatyczne, jak wnętrze katedry gotyckiej, i gęste ciemne lasy świerkowe, zbrojne od dołu w suche trzeszczące gałęzie. Widział rozległe lasy brzozowe, siedziby ogromnej ilości lęgowych słomek, przecinane olchowemi błotami, i ciągnące się na dziesiątki wiorst mszary, porosłe karłowatą sosną, usiane większemi i mniejszemi jeziorami, tak głębokiemi, że najdłuższą żerdzią nie mógłbyś dna dosięgnąć. Spotykał olszniaki o pniach równych i gładkich, zarosłe dołem tak gęstą trzciną, łozą i pokrzywą, przeplataną dzikim chmielem, że tworzyły niby zwartą dżunglę, grząską od dołu, a wyżej tkaną w gąszcz nieprzebyty.

Czułą duszą przyrodnika odgadywał bogactwa nieprzebrane, przeczuwał mnóstwo dociekań naukowych, czekających na czujne i chętne oczy człowieka, wtajemniczonego w życie puszczy.

* * *

Przy suto płonącem ognisku siedział Lewczuk, cały jeszcze pod wrażeniem odbytych „podsłuchów". Noc już była wkoło czarna, a przez zbity porost lasu nie przenikały ostatnie gasnące na zachodzie odblaski dalekiej zorzy.

W pobliżu, gdzieś za ciemną ścianą mroku, cisnącego się zewsząd do ognia, Hrehor Wołk trzaskał gałęźmi, które zbierał na opał. Namokłe drzewo syczało w ogniu, a nad nim grzała się woda, zaczerpnięta z leśnego błota, surowa jeszcze, niedawno topiona z zimowych śniegów.

Gdzieś z głębi boru płynął monotonny, cichy odzew sówki leśnej. Szymon siedział bez ruchu, wpatrzony w płomień, wszystkiemi fibrami swej duszy jakby zrośnięty z otaczającą go przyrodą.

Myśl cofała się wstecz, do chwil niedawno ubiegłych, gdy napięty słuch łowił ze drżeniem nerwów fascynujące odgłosy mocnych skrzydeł głuszcowych, kiedy w późnym już zmroku przypłynęła z tajemniczego moczaru zwrotka pieśni królewskiego ptaka, słyszana po raz pierwszy, tak dziwna, nieoczekiwana, choć niby znana z opisów.

Kilka kogutów siadło w pobliżu. Na lekki trzepot kur lub łomotanie krechtunów Hrehor nie zwracał uwagi, natomiast pewnym, wyrazistym ruchem ręki znaczył kierunek jutrzejszych śpiewaków. Jeden siadł blisko. Szymon słyszał wyraźnie uderzenie potężnych skrzydeł, następnie kilkakrotnie wydany krótki chrapliwy głos. I oto znienacka rozległ się dźwięk ostry, wyraźny, a podwójny, niby dźwięczne klaśnięcie kastanietu.

Hrehor chwycił Lewczuka ze rękę.

— Piajeć! szepnął po białorusku.

Głos powtórzył się raz, drugi, wahał się, zwalniał tempo, to znów przyśpieszał, aż raptem polał się kaskadą perlistych dźwięków i, zamierając, przeszedł w odgłos zgrzytliwy, dziwaczny, niepodobny do żadnego innego w świecie.

Zmrok zapadł, a oni siedzieli wciąż, zasłuchani w czarowne dźwięki. W ciszy wieczornej zwrotka za zwrotką płynęła przez las usypiający, kastanietowe tony goniły się dźwięcznem echem, niby chochliki leśne, skaczące od sosny do sosny, od pnia do pnia.

Gdy wreszcie ostatnia nuta zamarła w oddali, odeszli zwolna myśliwi, w zupełnej już ciemności, probując stopą gruntu i z niezmierną ostrożnością stawiając kroki przez miękkie mchy leśne.

Nadszedł Wołk, ciągnąc za sobą suchy odłam świerczyny, zbrojny sterczącemi sękami, które wnet trzaskać zaczęły w jego rękach.

— Myślisz, panoczku, że jutro razem pójdziem?— zwrócił się do Lewczuka. Nieee! — Patrzał ja na pana, na podsłuchu siedzący, i widzę — czucie do lasu masz, tak i myślę: niedobrze zaczynać od tego, żeby po piętach drugiemu iść i w plecy jego patrzeć. Iść tobie, panoczku, trzeba samemu, toku posłuchać i uczyć się. Zabić, może nie zabijesz odrazu, ale to nic. „Pośpiejesz" ich jeszcze nabić, a smak taki będzie lepszy".

Lewczuk patrzył ze zdziwieniem na starego: nie spodziewał się w prostym człowieku odnaleźć odczuć, tak sobie samemu pokrewnych.

— Tak, — mówił dalej Hrehor, — widział ja mia-

stowych myśliwych, co to prowadź jego na same miejsce, a najlepiej, kiedy wprzód głuszca do sęka przywiążesz, żeby nie uciekł. A wiedzieć chce odrazu napewno czy zabije, jakby do kurnika szedł! Czorta wart taki myśliwy! A po mojemu największa uciecha od tego, że ty sobie do lasu idziesz, a nie wiesz, kto tobie „popadnie się“. Trzeba, to strzelisz, nie trzeba — to patrzysz tylko na jego i cieszysz się.

* * *

Nie mógł spać tej nocy Lewczuk, myśli cisnęły się do głowy, przepełniona wrażeniami młoda dusza rozsadzała pierś, a przytem nocny chłodek dawał się we znaki. Zwyczajny noclegów leśnych, Hrehor spał na twardych świerkowych łapkach, przykryty kożuchem, a przemokłe jego nogi w skórzanych chodakach dymiły w cieple ogniska.

Szymon wstawał co chwila i dorzucał opału, łamiąc gałęzie świerkowe, to znów przez długie chwile wpatrywał się w sine ogniki, padające w górę od rozżarzonych głowni. Godziny mijały wolno, sennie, szum ognia głuszył dalekie odgłosy, niekiedy tylko odzywało się gdzieś z rozlewów przeciągłe kwakanie krzyżówki.

A wtem rozgłośna wrzawa napełniła las cały. Niby huczna fanfara orkiestry popłynęły szeroką falą dźwięczne akordy, donośne jak surmy bojowe, przenikające w najdalsze zakątki puszczy.

Spojrzał Lewczuk na Hrehora, który uniósł nieco głowy z nad swego spartańskiego posłania.

— „Żórawy“—rzekł z białoruska – północ znaczą.

I znowu cisza nastała. Myśli Szymona zwróciły się ku czekającym go przygodom. Przeszedł pamięcią całą znaną sobie teorję podchodzenia głuszca, wyczytane w książkach przeważnie niemieckich prawidła i morały, ale poczuł, że tak, jak wszędzie i zawsze, teorja nie zastąpi praktyki, zrozumiał, że w gruncie nie wie nic i że z początku będzie na toku bezradny, jak zbłąkane dziecię. Jednak słowa Hrehora trafiły mu do przekonania, odczuwał ich słuszność. Lepiej jest samodzielnie zacząć ten nowy rozdział księgi łowów i własną intuicją dochodzić do celu.

Zakrzyczały powtórnie żórawie na mszarnem błocie, a radosne ich hasło potoczyło się znowu po lesie. A gdy po raz trzeci ozwały się dźwięczne głosy, Hrehor dźwignął się z legowiska.

— Pora już — rzekł. — Dzień budzi się. Wraz śpiewać zaczną.

Naciągnął kurtę na ramiona, przepasał rzemieniem, a poprawiwszy chodaków, sięgnął po rusznicę, która spoczywała ukryta w gałęziach posłania.

— Panoczku, wiesz, gdzie iść, ale ciemno jeszcze bardzo, podejdziem razem, a stamtąd już pójdę ja dalej. Za dnia spotkamy się znowu tutaj przy noclegżysku.

I ruszył przodem, a za nim Lewczuk. Szara postać leśnika znikła odrazu w pomroce, tem głębszej, że oczy oślepione były blaskiem ognia.

Jaknajciszej starał się iść Szymon za swym przewodnikiem, ale było to trudne zadanie. To gałąź prysła pod stopą, to zahuczały pod twardym obcasem wypukłe korzenie drzew, a wówczas Hrehor odwracał się szybko, karcąc wymownym znakiem przewinienie. Noc była jeszcze zupełna, gdy doszli na miejsce podsłuchów. Niemym ruchem ręki zatrzymał Hrehor Szymona, wskazał na błoto, a postąpiwszy kilka kroków, znikł nagle w pomroce, jakby się pod ziemię zapadł. Nie trzasnęła gałązka, nie zaszemrały suche paprocie, dziki człowiek przewijał się przez głuchy las z niemniejszą wprawą, niż dziki a ostrożny zwierz.

Lewczuk stał bez ruchu i wszystkiemi nerwami wchłaniał ciszę tak zupełną, że słyszał w napiętych bębenkach szum krwi gorącej, rozpalonej żądzą przygód. Żaden dźwięk nie mącił jeszcze tej ciszy, noc panowała niepodzielnie; umilkło nawet przed świtaniem dalekie, groźne hasło puhacza.

Lecz oto zaczyna: słychać odległe suche stukanie, tek... tek... tek... Zwrot szyi—przestał. Znowu,... tek... tek... Ależ to skrzypi rzemień od plecaka na prawem ramieniu!

Znowu cisza. Naprężone ucho po raz drugi uławiać zaczyna daleki odgłos. Po chwili zdaje się Szymonowi, że z kilku naraz miejsc na błocie płyną tajemnicze dźwięki, niewyraźne, zatarte przez oddalenie. Przypomniał sobie, iż stary leśnik orzekł z wieczora, że głuszce siadały daleko w błocie.

— Może ztąd nie posłyszę? – pomyślał chłopak.— Trzeba wejść na mech.

Lecz zaledwie zrobił parę kroków po pochyłości, gdy stanął jak wryty.

Głos realny, zdecydowany wtargnął w jego świadomość. Tak, to on! Ten sam, co wczoraj. Tak jak wczoraj zaczyna, z początku nieśmiało i niepewnie, niby bąka pod nosem.

Blada jasność wstawała gdzieś za lasem. W dole, pod drzewami ciemno jeszcze było, ale górą szły już jakieś świetlne prądy, a wraz z niemi rozpalała się stopniowo pieśń głuszcowa. Aż zazgrzytał znów w pierwszej namiętnej zwrotce, za pierwszą poszła druga, trzecia...

— Teraz czas, w imię Boże!

— Raz, dwa! — skoczył naprzód i stanął, jak wryty. Znowu trele końcowe, czyhitanie, znowu dwa duże kroki.

Powoli posuwał się Szymon naprzód. Zgodnie z zasłyszanemi radami hamował swe zapędy i nie dawał więcej ponad dwa susy w czasie pieśni.

Lecz oto moczar. Zalśniła czarną głębią nieznana woda, w nozdrza uderzył ostry zapach mchu i bagna. Lewczuk zatrzymał się nieco i przepuścił jedną pieśń. W następnym susie bez namysłu skoczył w wodę i zdziwił się, gdy nogi jego uderzyły mocno o twarde dno: mech pod wodą był jeszcze zamarznięty, co ułatwiało ogromnie drogę. Splątane gałęzie łóz, rosnących na kępach, tamowały drogę i posuwanie się myśliwego stawało się jeszcze powolniejsze.

— Chyba już niedaleko? — przeszło mu przez myśl, — tak słychać, każdy najmniejszy szczegół pieśni odróżnić można. O, tam gęste splątanie sosen i ciemny jakiś kształt majaczy. Ale nie, głos płynie trochę z boku.

Gęsto rozsiane kępy barwnego mchu zastąpiły mu drogę, odbywaną dotychczas przez chlupoczącą wodę. Następnym susem wyskoczył nasz myśliwy na kępę i stanął mocno, opierając się ręką o pień sosny. Prawa noga wsiąkła w mech i oparła się o coś twardego.

Szymon znowu opuścił jedną pieśń, rozglądając się, gdzie dać następny sus, gdy wtem stała się rzecz

straszna. Ow twardy przedmiot pod prawa nogą rozstąpił się nagle z trzaskiem, niezbyt wprawdzie głośnym, ale przejmującym i wyraźnym w ciszy leśnej. Noga, skruszywszy nawpół zmurszczałą gałąź, wjechała w głąb rozmokłej kępy, a ciało straciło równowagę, przywróconą dopiero przez wahadłowe ruchy rąk, wraz ze trzymaną w jednej z nich strzelbą.

Pieśń głuszcowa urwała się, jakby nożem ucięta i cisza zalegała, tylko ledwo znacznym szelestem bulgotała woda w tropach uprzednich susów.

Walące jak młot serce Lewczuka zamarło na chwilę i ścisnęło się bolesnym skurczem, a potem znów bić zaczęło mocno, w skroniach, w uszach, całem ciele.

Chwile szły. Scierpła uwięziona we mchu noga, na której opierał się ciężar całego ciała. Szymon jednak trwał w niemym bezruchu, wiedząc, że czujny ptak czeka, słucha i uważa na wszystko.

Długie milczenie stawało się nieznośne.

— Może poleciał? — myślał Lewczuk. — Może cicho spłynął z drzewa? Ale chyba widziałbym, bo meta niedaleko.

Zdecydował wreszcie wyciągnąć ostrożnie nogę i wyprostować zbolałe członki. Oparty ręką o kępę, poruszył naprzód stopą, poczem jął ciągnąć w górę zdrewniałą nogę. Lecz operacji tej nie sposób było dokonać bezgłośnie w ciszy porannej. Zaszeleściały gałązki łozy i bagna, lekkiem westchnieniem trząsnął zmurszały sęk.

Niby lawina śnieżna zagrzmiały potężne skrzydła zrywającego się ptaka. Głuchy łoskot lotu oddalał się, słabnął, wreszcie zamilkł w oddaleniu, a Lewczuk stał wciąż jescze bez ruchu, z rozpaczą w duszy, ze ściśniętem sercem.

Po chwili dopiero rozejrzał się wkoło, a zarazem przeniknął uchem nowe dźwięki leśne.

Dzień się już zrobił zupełny. Z przezroczego jak łza, jasno-perłowego nieba znikły ostatnie gwiazdy, a od wschodu lały się złote blaski. Puszcza zbudziła się po krótkiej wiosennej nocy. Gdzieś w wysokim lesie improwizował wczorajszy mistrz, drozdśpiewak, wszystko, co żyło, głosiło chwałę dnia wstającego i wielkiego święta wiosny. Nad głową przeleciała para krzyżówek tak nisko, że Lewczuk poczuł na twarzy pęd powietrza, poruszonego ostremi skrzydłami. Z cichem chrapliwem kwakaniem rwał za kaczką piękny barwny kaczor, przystrojony w swą szątę godową. Gdzieś od wschodu, z pod wstającej jutrzenki, płynęły z oddali melodyjne dźwięki cietrzewiego toku.

Ruszył chłopak i posuwał się wolno po błocie, zatrzymując się co chwila i badając uchem gędźbę leśną, nasłuchując, czy nie doleci go znowu upragniony kościany klekot.

Przeszedł tak z pół wiorsty i zaczynał się już dziwić, że nic nie słyszy, gdy znowu rozległ się fatalny dźwięk gwałtownego lotu ptaka.

— Cóż to jest? — myślał Szymon, — przestały tokować, czy co?

Nie domyślał się nieborak, że donośny skrzydłowy alarm pierwszego spłoszonego głuszca uprzedził inne koguty, że wszystkie one siedzą teraz z wyciągniętemi w kształt butelki szyjami, badając czujnemi zmysłami zbliżające się niebezpieczeństwo, że dopiero po dobrej godzinie kompletnej ciszy mógłby powrócić spokój na zelektryzowanem tokowisku i piękne ptaki rozpoczęłyby na nowo bez troski dalszy ciąg koncertu.

Lecz Szymon tego nie wiedział i brnął dalej na ukos przez tokowisko, coraz bardziej zdziwiony głuchem milczeniem, zbity z tropu przez zrywające się, płoszone głuszce.

Po godzinie drogi, przerzynając pas krzaków łozowych i suchej trzciny, wyszedł z błota na pagórek, porosły gęsto ciemnemi świerkami, zdobnemi w siwe brody porostów i tu zatrzymał się. Usiadł pod drzewem na miękiej kępie mchu i słuchał.

Niepowodzenie łowieckie nie popsuło mu jakoś humoru Cudowny ranek, tchnący wonią i dyszący pełnią, radości nie dopuszczał wprost przykrych myśli zalewał duszę swem światłem radosnem, napawał dreszczem

Wesołe słońce śmiało się już od wschodniej strony, podnosząc coraz wyżej swą twarz życiodajną, a Lewczuk, siedział wciąż, oparty o chropawy pień świerkowy. Przestał jakby istnieć, zlał się w jedną całość z istotą lasu, myślał szerokiemi kategorjami i czuł za miljony istot.

Delikatny, bliski szelest wyrwał go jednak z zamyślenia. Ledwo znacznym ruchem zwrócił głowę w bok i przez nastroszone świerkowe igliwie ujrzał chyboczącą się gałąź sąsiedniego drzewa.

Niebawem dostrzegł kształt wielkiego ptaka i rozpoznał głuszycę, siedzącą spokojnie na pochyłym świerkowym konarze. Doleciało go ciche basowe kwokanie, od którego wydęte gardziołko ptaka poruszało się i zafalowało lekko.

Wchłaniał oczyma prześliczną sylwetę leśnej elegantki, misterny a efektowny rysunek plam czarnych, białych i rudych, wdzięczne wygięcie ciemnego grzbietu i zgrabne ruchy szyi.

— Nie bój się, ślicznotko! — myślał w duchu, pieszcząc wzrokiem aksamitny kształt ptaka.— Nie zrobię ci krzywdy. Wolę takie spotkanie z tobą, niż brutalne zwycięstwo łowieckie nad twym trubadurem!

A głuszyca, nie podejrzewająca obecności człowieka w tym dzikim zakątku, odpowiedziała mu cichem, spokojnem — „tak, tak, tak...“

Włodzimierz Korsak.

Jaja bażancie.

Wobec wielkiej ilości zapytań w sprawie nabywania jaj bażancich lub żywych bażantów prosimy pp. hodowców mogących odprzedać jaja bażancie o jaknajszybsze zawiadomienie nas o tem.

Równocześnie prosimy wszystkich pp. hodowców pragnących nabyć jaja bażancie lub żywe bażanty o przesłanie nam zapotrzebowania w formie ogłoszenia. Ogłoszenia tego rodzaju pomieszczane będą w dziale ogłoszeń drobnych po cenach niższych o 50%.

WIELKI KONKURS MYŚLIWSKI.

Dla pobudzenia twórczości literackiej wśród ogółu myśliwych, redakcia „Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego" ogłosiła Konkurs Myśliwski na opracowanie jednego z trzech powyższych tematów:

1) monografja jednego z polskich zwierząt lub ptaków łownych (praca naukowo-myśliwska);
2) wspomnienie z osobistych przeżyć myśliwskich (praca literacko-myśliwska);
3) studium o psie myśliwskim (na temat: Hodowla i próby wyżłów w Polsce).

Prace przeznaczone na Konkurs należy przesłać listem poleconym do redakcji „Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego" Szpitalna 12, z zaznaczeniem na kopercie: Praca na Konkurs Myśliwski". Wewnątrz koperty z pracą podpisaną godłem, powinna mieścić się zapieczętowana koperta, opatrzona godłem, zawierająca nazwisko autora.

Rozmiar pracy — dowolny. Nagrody trzy — za najlepszą pracę w każdym z trzech działów, Pierwsza nagroda imienia ś. p. Ścibor-Rylskiego. Nagrody w postaci wartościowych dzieł myśliwskich.

Ostateczny termin nadsyłania prac: 1 styczeń 1924 roku.

W skład jury prócz Komitetu Redakcyjnego wchodzą: Jan Grabowski — inspektor stadnin państwowych, p. Stefan Krzywoszewski — redaktor „Świata".

Redakcja zastrzega sobie prawo druku wszystkich nadesłanych prac za autorskiem honorarjum.

Redaktor Naczelny: Juljan Ejsmond. **Komitet Redakcyjny:** Gen. Bronisław Grąbczewski, Józef Błeszyński, Wł. Janta Połczyński i Włodzimierz Korsak.

Redaktor przyjmuje od godziny 6 — 7 wieczorem w poniedziałki.

Redakcja: Szpitalna 12. **Administracja: Szpitalna 12. Warszawa.**

Numer pojed.—**150.000** mk. Prenumerata mies. (z odsył. do domu) — **300.000** mk.; Konto czekowe w P. K. O. № 7595.

Cena ogłoszeń: strona—**25.000.000** mk.; 1/2 str.—**12.000.000** mk; 1/4 str. **6.000.000** mk.; 1/8 str.—**3,000.000** mk. 1/16 **2.000.000** mk.

Administracja, Szpitalna № 12. Zakłady Drukarskie „Prasa", Tamka № 46.